

Martyna

Droga do szczęścia

Mieszkam w Prochowicach, w wielopokoleniowym domu razem z rodzicami i dziadkami. Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad tym, dlaczego wszyscy mieszkamy tak blisko siebie. W budynku obok mieszka ciocia, siostra mojego dziadka, wraz z córką i zięciem. Za ich posesją znajduje się niewielki domek zamieszkiwany przez starszą siostrę dziadka, z którą jeszcze do niedawna mieszkała moja prababcia. Na działce obok, jak sięgam pamięcią, stała ogromna stodoła. Któregoś dnia, gdy miałam mniej więcej pięć lat, przyjechała wielka maszyna i po budynku gospodarczym nie zostało ani śladu. Na jego miejscu znajduje się teraz niewielki domek, w którym zamieszkała moja ciocia, najmłodsza siostra taty i córka dziadka, wraz z mężem i synem. Wszystkie cztery posesje połączone są furtkami i po każdej mogę się swobodnie poruszać. Nie oddzielają ich mury, które dziś zwykle się stawiać po to, by zapewnić sobie prywatność, by nikt przypadkiem nie wdarł się na nasz teren i nie zobaczył, czego się w życiu dorobiliśmy.

Jest piękny, kwietniowy dzień. Wyglądam przez okno swojego pokoju, z którego rozlega się widok na cztery ogromne ogrody. Mieszkańcy czterech domów pracują, by przygotować swoje posesje do wiosny – letniego sezonu. Ciocia Zosia przygotowuje grządki, ciocia Monika rozpałała ognisko, do którego wrzuca suchą trawę, wcześniej wydartą z trawnika. Wujek Wojtek przycina drzewka, dziadek przekopuje warzywniak, mój tata bieli drzewa owocowe, a babcia z ciocią planują, gdzie posadzić nowe krzewy i kwiaty. Jak to się stało, że wszyscy mieszkamy tak blisko siebie?

Schodzę do pokoju babci i dziadka. Siadam w bujanym fotelu, który nigdy nie jest wolny, gdy dziadkowie są w domu. Obok, na okrągłym stoliku, wśród babcinych czasopism z poradami i krzyżówek dziadka, leży rodzinny album ze zdjęciami i dokumentami. Biorę go do ręki. Na pierwszej stronie znajdują się akty urodzenia. Wynika z nich, że ani babcia, ani dziadek nie urodzili się w Prochowicach. Na następnej stronie widnieją sylwetki moich pradziadów i ich rodziców. Ja pamiętam jedynie mamę dziadka. Zmarła w wieku dziewięćdziesięciu lat, kiedy ja byłam jeszcze małą dziewczynką. Ludzie na pozostałych fotografiach wydają się być mi bliscy, ale ich nie znam. Kim byli? Jak znaleźli się w naszym miasteczku? Jak doszło do tego, że stworzyli w Prochowicach tak duże gospodarstwo, na którego miejscu dziś znajdują się cztery domy? Na te wszystkie pytania może mi odpowiedzieć tylko jedna osoba. Jest nią ciocia Zosia. W tym roku kończy osiemdziesiąt lat. Kiedy przyjechała wraz z rodzicami i rodzeństwem do Prochowic, była piętnastoletnią panienką. Mój dziadek miał wówczas siedem lat, a ich średnia siostra – dziewięć.

Jestem z natury dość dociekliwa, więc postanowiłam, że upiekę racuchy z jabłkami i odwiedzę najstarszego członka naszej rodziny w najstarszym z czterech domów, znajdujących się na terenie gospodarstwa pradziadków.

Ciocia bardzo się ucieszyła z odwiedzin. Żałowała jedynie, że jej nie uprzedziłam. Upiękłaby wówczas moje ulubione ciasto drożdżowe. Usiadłyśmy w pokoju. Ciocia jak zwykle zajęła fotel, a ja usiadłam przy ogromnym kafłowym piecu, od którego było przyjemne ciepło. Kiedy zapytałam o to, jak doszło do tego, że nasza rodzina pojawiła się w Prochowicach, nie była zaskoczona. Wiedziała, że tej historii nie można zapomnieć. Zaczęła więc swoją opowieść...

Miałam piętnaście lat. Mieszkaliśmy wtedy w Zemborzycach na Pomorzu. Mieliliśmy niewielkie gospodarstwo i pracowaliśmy na nim, aby mieć chleb i mieszkanie. Dom należał do rodziny tatusia. Mieszkały w nim moja babcia i ciocia. Moi rodzice byli bardzo pracowici. Robili wszystko, aby niczego nam nie brakowało. Udawało się im wiązać koniec z końcem dzięki wytrwałości. Mamusia zajmowała się domem, a tatuś pracował na roli i dbał o rozwój gospodarstwa. Jedynie na co mogliśmy narzekać to ludzie, którzy mieszkali wokół. Byli zawistni. Nie chcieli pracować, aby i im się wiodło. Woleli podtruwać nasze zwierzęta i nie życzyli nam dobrze. Nie było więc łatwo. Pewnego dnia tatuś wrócił do domu i oznajmił mamusi, że niedaleko Legnicy znajduje się niewielka miejscowość, w której są jeszcze domy do zagospodarowania. Informację tę usłyszał przez radio. Nie zastanawiał się długo. Wraz z sąsiadem udali się sprawdzić, jakie w Prochowicach są warunki. Kiedy wrócił, stwierdził, że się wyprowadzamy. Mamusia przyzwyczaiła się do tego, że zawsze szła za swoim mężem. Ja miałam wątpliwości, ale cóż miałam począć... Zaczęliśmy pakować cały swój dobytek. Wszystko, co udało nam się zabrać wywieźliśmy na stację. Nasz majątek zmieścił się w siedmiu wagonach. Dla nas przeznaczony był przedział osobowy, ale mamusia stwierdziła, że nie możemy zostawić naszych zwierząt samych i jechaliśmy w wagonie razem z nimi. Trzeba było przecież karmić i poić inwentarz oraz doić krowy.

Był rok 1953. Wyruszyliśmy na Dolny Śląsk. Do Prochowic dotarliśmy jako jedni z ostatnich. Zamieszkaliśmy w domu przy ulicy Młyńskiej, zajmowanym wówczas przez rodzinę prochowickiego piekarza. Zajęliśmy jego część. Było nas pięcioro mamusia, tatuś, brat, siostra i ja. Kiedy zobaczyłam warunki, w jakich przyszło nam mieszkać, rozplakałam się i powiedziałam, że wracam tam, skąd przyjechałam. Tatuś mnie uspokajał. Obiecał, że doprowadzi wszystko do takiego stanu, że będzie można tu godnie mieszkać. Zawsze chciał mieszkać tak, by blisko były: ratusz, szkoła, kościół i lekarz. Według tatusia Prochowice to idealne miejsce. W gospodarstwie nie było prądu, wody, kanalizacji. Toaleta znajdowała się na zewnątrz. Tatuś tak jak obiecał, dość szybko się z tym uporał.

Na początku jedzenia było bardzo mało a pracy bardzo dużo. Nie mieliśmy czasu na zabawę, tylko praca i szkoła. Na szczęście ludzie wkoło byli bardzo dobrzy. Pomagali sobie nawzajem. Szybko zżyliśmy się z sąsiadami. Byli to ludzie pochodzący ze wsi, mieli doświadczenie w pracy na roli. Mogliśmy więc liczyć na ich pomoc i wsparcie. W powietrzu czuć było atmosferę wzajemnej sympatii, życzliwości i szacunku. Nielatwo było wówczas wyżywić rodzinę. Jako piętnastoletnia dziewczyna musiałam rozpocząć pracę. Tatus obawiał się, że jak pójdę do pracy, nie będę chciała pomagać w gospodarstwie. Niepotrzebnie, ponieważ nigdy nie zostawiłam rodziców w potrzebie. Najpierw pracowałam jako salowa na porodówce, później w Radzie Gromadzkiej, a ostatnie moje zajęcie to szycie odzieży skórzanej w Proskórze. Po powrocie do domu zwykle przebierałam się i pomagałam w gospodarstwie. Mieliśmy szczęście, bo jako nieliczni pracowaliśmy na swojej ziemi. Hodowaliśmy swoje zwierzęta: świnie, kury, kaczki, krowy i konie. Mieliśmy co jeść. Wtedy tylko ten, kto nie był leniwy, kto pracował od świtu do nocy, miał co do garnka włożyć. Jedliśmy przecież to, co sami wyhodowaliśmy i przygotowaliśmy. Były to plony z naszych pól, swoje jajka i mleko. Świnie zabijaliśmy tylko przed świętami, by mieć szynkę, kielbasę, mięso. W codziennym jadłospisie królowały przetwory z owoców i warzyw, zupy i wszelkiego rodzaju kluchy. Gotowaniem i prowadzeniem domu zajmowała się mamusia. Tatus nauczył nas pracy na roli. Potrafiliśmy robić wszystko. Nasze gospodarstwo dzięki zaradności rodziców prężnie się rozwijało. Mogliśmy sobie pozwolić na zakup maszyn rolniczych. Rada Gromadzka wydzierżawiła nam ziemię leżące ugiorem pod lasem wrocławskim i uprawialiśmy je. Po niedługim czasie na tych terenach rodzice wybudowali kurnik. Było coraz lepiej. Etapami unowocześnialiśmy nasz dom. Współlokator wyprowadził się z rodziną do miasta. Ja miałam pracę, moje rodzeństwo również. Już nie chciałam wracać na Pomorze. Tu nawiązałam przyjaźnie, miałam pracę i rodzinę.

Teraz myślę, że decyzja tatusia była tą najbardziej odważną w jego życiu, ale i niezwykle trafną. Dziś mam osiemdziesiąt lat i niczego mi nie brakuje. Cieszę się, że wszystkich mam tak blisko.

Fakt...

Słuchałam tej opowieści z ogromnym zainteresowaniem. Cieszę się, że mój pradziadek podjął taką właśnie decyzję, bo dzięki niemu mieszkam w miejscu, które i ja pokochałam, w którym czuję się dobrze i otaczają mnie życzliwi ludzie. Ich życie było dużo ciekawsze w dawnych czasach. Sama poznałam kilku przyjaciół mojego dziadka i jego siostry. Nie zamieniłabym swojego miasteczka na żadne inne. Dziś wszyscy wokół modernizują swoje domy. Rodzinne mieszkanie dziadka ma swój dawny wygląd. Wygląda dość dziwnie wśród unowocześnionych budynków wokół, ale dzięki temu mogę choć na chwilę przenieść się w tamte już historyczne czasy.

Tak było...



Pradziadkowie tuż po przyjeździe do Prochowic (rok 1952)



Pradziadek, dziadek i wujek rozbudowują gospodarstwo



Pierwszy środek lokomocji



Tak wyglądał nasz ogród na samym początku



Pradziadkowie przy samochodzie (lata 80 – te)



Widok z okna mojego pokoju zanim się urodziłam
(trzy ogrody)



Nasz dom wkrótce po zamieszkaniu w nim przez babcię
dziadka (rok 1979)



Dziadek i wujek sami robią pustaki, by rozbudować nasz i
dom

A tak jest...



Widok na domy: cioci Moniki (po prawej) i nasz (po lewej)



Najmłodszy dom na dawnym gospodarstwie pradiadków



Widok na ogród cioci Zosi i fragment jej domu

